



Wykład wygłoszony z okazji otrzymania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego 12 maja 2012.

Idea uniwersytetu

MICHAŁ HELLER

Byłem wtedy małym chłopcem. Jechałem z ciotką tramwajem ulicą Basztową. Ciotka pokazała mi czerwony budynek wśród drzew i powiedziała, że to jest Uniwersytet Jagielloński. Budynek wydał mi się niezwykle dostojny, przybytek nauki. Od tej chwili stał się dla mnie czymś w rodzaju życiowego ideału. Minęło wiele lat, wiele się zmieniło, ale obraz widziany przez okno tramwaju pozostał i pozostał ideał Uniwersytetu – jako jeden z najważniejszych w moim życiu.

Nic więc dziwnego, że jako temat wykładu z tej niezwykle dla mnie okazji wybrałem „Idea Uniwersytetu”. Będę mówić o uniwersytecie, edukacji, pracy naukowej... Obiecuję, że nie powiem ani słowa o pieniądzach. Pieniądze mają jednak coś wspólnego z ideami – jedne i drugie mogą ulec dewaluacji. Ale jest między nimi zasadnicza różnica: jeżeli pieniądze ulegną dewaluacji, jakaś dobra idea może wyprowadzić z finansowego kryzysu, ale jeżeli zdewaluują się idee, nie pomogą żadne pieniądze.

Wszystko zaczęło się od edukacyjnego boomu na przełomie XII i XIII wieku. Około roku 1100 typowa szkoła miejska składała się z jednego nauczyciela (magistra) i kilku uczniów. Bywało, że do miasta przybywał nauczyciel. Jeżeli był bardziej znany lub lepiej się reklamował, gromadził wokół siebie uczniów. Sam musiał znaleźć miejsce, w którym mógłby uczyć. Niektóre szkoły – czy raczej „prywatne lekcje” – zaczęły przyciągać więcej uczniów. Proces był spontaniczny i dlatego pozostał nieudokumentowany. Między rokiem 1190 a 1209 w Oxfordzie uczyło już ponad siedemdziesięciu magistrów. Gdy zaczęły się rodzić napięcia i społeczne problemy – niekiedy dochodziło nawet do rękoczynów między żakami i mieszczanami – zrodziła się potrzeba organizacji. Wzorem stały się miejskie cechy. Studenci i nauczyciele łączyli się w „grupy wspólnych interesów”, podobnie jak inne zawody. W odróżnieniu od innych zaczęły nazywać się *universitates*. Grupy były początkowo luźne, niezwiązane z żadnym miejscem lub budynkiem. To sprawiło, że były mobilne. Często migrowały za nauczycielem. Osiadały tam, gdzie znalazły lepsze warunki.

Podział na późniejsze wydziały wymusiła konieczność. Przygotowaniem do dalszych studiów stały się *artes liberales* – sztuki wyzwolone. Dawały one coś w rodzaju ogólnego wykształcenia i bardzo wielu studentów na nich kończyło swoją edukację. Pozostałe trzy wydziały wiązały się z trzema zawodami, które były ważne dla społeczeństwa: medycyna, prawo, teologia.



Fot. Adam Walańcus

Od tamtych czasów przeszliśmy długą drogę. Rozwój uniwersytetów jako instytucji w pewnym tylko stopniu odzwierciedla ekspansję nauki, jaka w międzyczasie nastąpiła. Z czasem nauka rozsądziła nienadążające za nią, trochę już zeszywniałe, struktury uniwersyteckie i częściowo przeniosła się najpierw do różnych Akademii Nauk i Towarzystw Naukowych, a potem do rozmaitych Instytutów Badawczych. Edukacja i badania nigdy nie były identyczne, ale dziś coraz wyraźniej oddzielają się od siebie. Organizacyjne struktury uniwersytetu uległy daleko idącej ewolucji, zmieniły się strategie i zapotrzebowania. Rodzi się niepokojące pytanie: czy nie za bardzo odeszliśmy od założycielskiej idei? ▶



► Wspomniałem, że *artes liberales* stanowiły warunek konieczny do studiów na pozostałych wydziałach. Były sztukami wyzwolonymi nie tylko dlatego, że zwalniały z pańszczyzny, jeżeli ktoś jej dotychczas podlegał, ale również dlatego, że dawały swoistą wolność ducha, otwierały drzwi do świata kultury. Dziś podobną funkcję mają spełniać studia średnie uwieńczone maturą, ale nie spełniają.

Ponad pół wieku pracuję w zawodzie nauczyciela akademickiego (tak to się obecnie nazywa) i bez wahania stwierdzam, że po każdej reformie podstawowego i średniego nauczania otrzymywaliśmy na pierwszy rok studiów uniwersyteckich gorzej przygotowanych studentów. Nie pomimo reform, lecz z powodu ich. Bo przecież jeżeli nauczanie ma być coraz bardziej dostępne, to trzeba dostosować wymagania do średniego (w więc coraz niższego) poziomu. I zapewne tak właśnie powinno być: to dobrze, jeżeli coraz większy procent populacji będzie znać alfabet i cztery działania. Tylko, że ja od mojego studenta na pierwszym roku wymagam czegoś trochę więcej. Niewiele, ale jednak więcej. Chcę żeby znał język polski na poziomie podstawowym: żeby potrafił przeczytać polski tekst ze zrozumieniem, żeby potrafił napisać pracę seminaryjną poprawnym językiem i bez błędów ortograficznych. A gdyby od czasu do czasu sięgnął po jakąś książkę dla własnej przyjemności, to już byłby prawdziwy luksus. Nie wymagam od studenta na pierwszym roku, żeby znał podstawy rachunku różniczkowego (w razie potrzeby nauczą go tego na uniwersytecie), ale żeby miał pewną dyscyplinę myślenia i poprawnego wyciągania wniosków. To powinien nabyć na lekcjach matematyki w szkole średniej. Opowiadania o poprawnym myśleniu niczego nie dadzą, jeżeli samemu myślenia się nie przećwiczysz.

Kardynał Newman w swojej znanej książce¹ o idei uniwersytetu wymagał, by na poziomie przygotowawczym uczono gramatyki i matematyki. Moje postulaty sprawdzają się w gruncie rzeczy do tego samego, tyle, że są wysłowione w postaci bardziej nawiązującej do obecnych realiów. Naprawdę nie żądam wiele. Gdy czytając pracę magisterską, nie muszę poprawiać ortografii i stylu, staram się zapamiętać studenta jako takiego, który rokuje nadzieję. A to przecież powinno być normą, poziomem zero, od którego się startuje.

Ale jest jeszcze jeden postulat. Przystępując do studiów na wydziale *Artes Liberales*, kandydat musiał przejść wstępne stadium edukacji: u opłacanego nauczyciela, w szkole parafialnej lub bezpośrednio u proboszcza. Tam musiał opanować łacinę i w mowie, i w piśmie. Łacina była językiem nauki i na wydziale *Artes Liberales* wszystko, od pierwszych zajęć, odbywało się po łacinie. Dzisiejszą łaciną jest język angielski – czy nam się to podoba, czy nie. Studenci rozumieją to lepiej niż programy nauczania dla szkół średnich i podczas studiów zdobywają się na wiele wymagających samozaparcia wysiłków, by ten język opanować w miarę biegle. I są tego rezultaty. Jeszcze kilkanaście lat temu, gdy organizowało się w Krakowie międzynarodowe seminarium lub sympozjum, trzeba było zadbać o tłumaczenie obcojęzycznych referatów. Dziś jest to zbyteczne. I po referacie dyskusja toczy się w miarę swobodnie bez pomocy tłumacza.



Fot. Adam Walański

Jak zapewnić studentom normalny, tzn. z dobrym przygotowaniem, start w studiach uniwersyteckich w sytuacji, gdy szkoła średnia takiego przygotowania nie daje? Sposób taki już dawno wynaleźli Amerykanie. Tamtejszy system dwuletnich *college'y* pomiędzy szkołą średnią a właściwymi studiami uniwersyteckimi ma w gruncie rzeczy wyrównać niedostatki *high schools*. Gdy podczas jakiejś dyskusji rzuciłem myśl, by u nas wprowadzić coś podobnego, usłyszałem w odpowiedzi, że wprowadzony u nas system licencjatów ma właśnie spełniać taką rolę. Grube nieporozumienie! System licencjatów ma za zadanie upowszechnić wyższe wykształcenie. W istocie, nie wyższe lecz jedynie półwyższe i upowszechnić czyli obniżyć poziom. Natomiast nam – nauczycielom akademickim – chodzi o to, żebyśmy mogli z czystym sumieniem zakładać, że nasz student zna język polski i potrafi poprawnie formułować swoje myśli.

Uniwersytety powstały na zasadach wysoce demokratycznych. Nigdy potem takiego stopnia demokracji w nauczaniu nie udało się osiągnąć. Struktury uniwersyteckie narodziły się z wolnych kooperacji studentów i uczących. Bardzo często to właśnie kooperacje studenckie wyłaniały spośród swoich członków „władzę”, które pilnowały wspólnych interesów i zarządzały całością. Co więcej, różnica między studentami a magistrami nie była ostra. Niejednokrotnie magister na Wydziale *Artium* był studentem na Wydziale Teologii. Z czasem jednak życie okazywało się silniejsze od tendencji demokratycznych i wymuszało coraz sztywniejsze struktury organizacyjne. Władcy różnego kalibru: papież, królowie, lokalni biskupi, szybko zrozumieli doniosłość uniwersytetów (prestż też jest wartością polityczną) i stawali się ich protektorami, a to powodowało edykty, dotacje i przywileje. Pewien stopień biurokracji jest nieunikniony.

Sama nauka, ze swej istoty, nie jest demokratyczna: jedni pobierają naukę, drudzy uczą, jedni są zdolniejsi, inni mniej. Znaczny procent pobierających naukę eliminuje się niemal automatycznie. Nauka jest elitarna i jeżeli o tym się zapomina, droga do bylejakości staje otworem. Chociaż pewien (zwykle duży) stopień demokracji jest niezbędny zarówno do nauczania, jak i do pracy badawczej. Demokracja to także wolność od zewnętrznej presji. Jak uczy historia, różnie z tym bywa. Jest to ogromny temat, który trzeba odłożyć do innej okazji. Tu chciałbym poruszyć tylko jedno zagrożenie demokracji – nadmierną biurokrację. ►

¹ John Henry Newman, *The Idea of a University*, 1852, 1858.

► Właściwie nie mam wiele do powiedzenia na ten temat. Wszyscy widzą nonsens tego, co dzieje się pod tym względem na naszych uniwersytetach i w instytutach badawczych, i wszyscy pozwalają wciągnąć się w ten wysysający lej. Nie da się procesu nauczania i badania zamienić na klikanie w odpowiednie rubryki pojawiające się na ekranie komputera. Retoryczne pytanie, ile taka biurokracja kosztuje, pomiję, ponieważ obiecałem nie mówić o pieniądzach.

Kiedyś, przed laty dziennikarz zapytał profesora Henryka Niewodniczańskiego, czym się obecnie zajmuje. Profesor odpowiedział, że „fizyką administracyjną”. Ale to były dobre czasy, kiedy jeszcze nie używano komputera do produkowania niewyobrażalnej liczby formularzy (w których nierzadko na datę urodzenia jest trzy linijki a na temat pracy naukowej miejsce, w którym z trudem można zmieścić siedem liter). Ale porzućmy to zbyt łatwe, bo oczywiste utyskiwanie. Problem ma bowiem składową filozoficzną.



Fot. Adam Właić

Na portalu w Collegium Maius znajduje się napis: *Plus ratio quam vis*. Są to słowa rzymskiego poety z I wieku przed Chr., Caiusa Corneliusa Gallusa, które Uniwersytet Jagielloński przyjął jako swoją dewizę. „Bardziej rozum niż siła”. Na długą metę siła zawsze przegrywa z racjami rozumowymi, ale doraźnie przemoc może zamknąć usta racjom. Najniebezpieczniejsza pod tym względem jest inercja, czyli siła bezwładności: tak jest i nic nie da się zrobić. Taką siłą wywiera biurokracja. Nie mówię „obsługa administracyjna”, czy „administrowanie nauką” – to są zabiegi konieczne i użyteczne. Biurokracja ma miejsce wtedy, gdy mamy do czynienia z przerosłem administracyjnym. Granica między administracją a biurokracją jest oczywiście płynna, ale w przypadku naszych uniwersytetów i instytutów badawczych wszelkie granice zostały już dawno przekroczone.

Tradycyjnym przywilejem uniwersytetów – ale przywilejem wyrastającym niejako z ich istoty – jest wolność uniwersytecka. Nawet władza państwowa ma ograniczony wstęp na teren uniwersytetu. Biurokracja jest bardzo zdradliwym zagrożeniem tej wolności. Ona nie musi wkraczać na teren uniwersytetu; ona tam po prostu jest i działa od wewnątrz. Jej zdradliwość polega na tym, że udaje, iż wspiera działalność naukową, a w istocie paraliżuje ją, zamieniając prace badawczą i dydaktyczną na produkowanie papierów, które napędzają cały proces.

Z nostalgią patrzymy na średniowieczne uniwersytety z ich wspólnotą uczących się i magistrów, z ich przywilejami i estymą społeczną, z wielkimi Mistrzami przyciągającymi rzesze studentów z różnych krajów. Oczywiście idealizujemy ten obraz. Nie widzimy w nich naszych własnych problemów, ale też nie dostrzegamy trudności i kłopotów, z jakimi oni się wówczas zmagali. W ciągu wieków uniwersytety przeżywały swoje wznoszenia i upadki. Były okresy świetności i okresy regresu. Ale idea uniwersytetu nie tylko przetrwała, lecz także stworzyła nowe formy, przystosowała się do zmienionych warunków i nadal wydaje owoce ku pożytkowi i chlubie ludzkości.

Musimy jednak strzec tego dziedzictwa. Cieszymy się, że wyższe wykształcenie obejmuje dziś coraz szersze warstwy społeczeństwa i chcemy ten proces popierać, ale nie wolno nam zamieniać wyższych uczelni na zakłady produkujące rzesze niedouczonej absolwentów, których dyplomy nie mają pokrycia w ich wiedzy. Wyrządza się w ten sposób krzywdę i tym młodym ludziom, i społeczeństwu. Warto pamiętać anegdotę o dyktatorze, który chcąc podnieść poziom wykształcenia w swoim państwie, wszystkim obywatelom powyżej osiemnastego roku życia nadał tytuł doktora. Nauka jest demokratyczna, bo powinna być dostępna dla wszystkich, ale jest również elitarna, bo wymaga od swoich adeptów zdolności i pracy znacznie ponad przeciętną miarę. Tworzymy więc na uniwersytetach dla tych, którzy się wybijają, warunki do rozwijania ich możliwości: elitarne kierunki, systemy promocji, specjalne zespoły badawcze. Inwestycja w elitarność nie sprzeciwia się upowszechnianiu wykształcenia. Wyższy poziom intelektualny jest zaraźliwy, poprzez tworzenie środowiska przenosi się na innych i bardzo szybko wydaje owoce.

Chciałbym zakończyć ten wykład przywołaniem epizodu z dziejów Krakowskiej Uczelni, ale epizodu, który streszcza w sobie to, co jest najważniejsze w idei uniwersytetu.

Jesienią 1491 roku przybył do Krakowa z odległego Torunia Mikołaj Kopernik wraz ze swoim starszym bratem Andrzejem. Mikołaj miał wówczas 18 lat i pozostał w Krakowie cztery lata. Uniwersytet Krakowski (tak się wówczas nazywał) przeżywał okres rozkwitu. Był on pierwszym uniwersytetem w Europie, który w 1406 roku otworzył katedry matematyki i astronomii. Niemiecki historyk, Hartman Schedel w swojej *Kronice Świata* (wydanej w Norymberdze w 1493 roku) pisał: „[w Krakowie] przy kościele Św. Anny znajduje się głośny z bardzo wielu sławnych i uczonych mężów uniwersytet, w którym uprawiane są wszelkie umiejętności... Najbardziej kwitnie tam astronomia, a pod tym względem, jak wiem od wielu osób, w całych Niemczech nie ma szkoły sławniejszej”.

To jest właśnie idea uniwersytetu: uczyć, rozwijać naukę, służyć ludzkości w poznawaniu prawdy. Czy można zatrzymać gwiazdy i planety w ich biegu? Na tej uczelni studiował ktoś, kto tego dokonał: zatrzymał Słońce i poruszył Ziemię. Tak potężna jest Idea Uniwersytetu. Nie pozwólmy zamienić jej na zbiór przepisów.

MICHAŁ HELLER

Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych
ul. Sławkowska 17, 31-016 Kraków

Tarnów, 24 kwietnia 2012